

R G B WH GR BL



Grey Scale #13

C M Y K



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

Blue

Cyan

Green

Yellow

Red

Magenta

White

3/Color

Black

Centimetres

Inches





ARTUR Hr. POTOCKI.



Heliogravura J. Blechingera w Wiedniu.

Z fotografii W. Rzewuskiego w Krakowie.

Artystyczny

(• 14 Czerwca 1850. † 26 Marca 1890.)



ARTUR Hr. POTOCKI

WSPOMNIENIA POŚMIERTNE

napisane przez

L. Hr. Dębickiego i St. Hr. Tarnowskiego,

w osobnym wydaniu powtórzone.





WYBANO Z DUBLETÓW
Biblioteki Narodowej



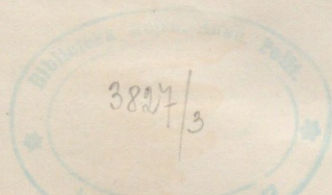
W KRAKOWIE,

NAKŁADEM I CZCIONKAMI Drukarni «CZASU» FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządkiem Józefa Łakocińskiego.

1890.



1952 w 834 / 242



Zdawałoby się, że śmierć bierze u nas na cel tych, co najpotrzebniejsi, z którymi najpiękniejsze wiążą się nadzieje, którzy dźwigają największy ciężar obowiązków, tych, co stoją w pierwszych szeregach i dzierżą sztandary.

Ojcowie nie doczekali starości — w anormalnych warunkach naszego życia publicznego nagła przed kilkunastu laty otwierała się próżnia i przerwa, gdy Adam Potocki przedwcześnie zstępował do grobu, a przed nim i niebawem po nim cały zastęp mężów jego pokolenia, nastrojem ducha, zasad i myśli jemu pokrewnych.

Próżnia nie zarównała się do dziś dnia, lecz niebawem okazała się siłą tradycyi domu, duchowej solidarności pokoleń, gdy syn po ojcu w młodzieńczych latach podjął brzemień społecznych i politycznych zadań i poświęceń. Ze słuszną dumą i z otuchą zdrowa część społeczności wskazywała na Artura Potockiego, co kroczył śladami ojca i dziadów — i wnet kraj poznał, że krew nie zawodzi, ogniwa pokoleń nie zrywają się i poziom utrzymuje — że znów w służbie narodu tasama gotowość, w radzie bystrość oka i wytrawność sądu, tasama dzielność woli, hojność dłoni, a nadewszystko tasama serca szlachetność.

Czyliż mamy przytaczać na to dowody z tak krótkich niestety lat działalności Artura Potockiego? Niech

na to odpowieć sumienie publiczne, niech świadczy ten głęboki żal, który wstrząsnie całym krajem, że on podjął i dokonał wiele, a spodziewać się należało po nim coraz więcej, że rósł myślą i poświęceniem z roku na rok, że dojrzywał i wyrabiał się duchowo, potęgował w sobie miłość Ojczyzny i wierność Kościołowi, poczucie ścisłego obowiązku i wytrwałość w pracy — a w tym ciągłym postępie coraz szersze otwierały się przed jego umysłem i wolą horyzonty.

Zaczął swe zadania od tego, co także i rodzica ulubionem było staraniem, od najniższego szczebla samorządu, od Rady powiatowej, instytucji i stosunków, które zbliżają do ludu, pobudzają samodzielność społeczną, zapewniają wpływ terytoryalny. W tym zaś zakresie autonomiczno-patryarchalnym niósł odziedziczoną miłość i tradycyjną ofiarność.

Tradycja, stanowisko, dar wymowy, szlachetna ambicja i silniejsze odeń pragnienie służby i poświęcenia, wszystko go wołało na szerszą arenę. Mało towarzyski z natury, ciężkim ciosem pozbawiony najmilszej życia pociechy — wstąpił do Sejmu przed 9^{cią} laty, gdy kończył rok trzydziesty życia. Istniały już podziały stronnictw — Artur Potocki stanowczy w zasadach, solidarny w gronie przyjaciół politycznych, wnosił wiele tego magnetyzmu, jednoczącego ludzi, rozbrajającego przeciwnika, którego dziś taki brak daje się uczuwać. Miał on rzadki dar przekonywania. Umysł syntetyczny nie tracił nigdy z oka dla szczegółu wyższych społeczeństwa celów. Przyszło mu nieraz bronić spraw niepopularnych, mierzyć się z prądem opozycyjności tyle u nas ponętym ile bałamutnym, stawać napoprzek przesadzie w skargach lub żądaniach, szukać miary właściwej i trzeźwić umysły. Szlachetność porywa zawsze za sobą — a gdy Artur Potocki był w Sejmie, porozumienie stronnictw

stawało się łatwiejszem i zawsze znajdowało się wyjście z najzawilszych, napozór niewyjaśnionych, niedojrzałych kwestyj; dość przypomnieć kwestyę propinacyjną z wielu innych. A gdy klęska zagrażała tysiącom rodzin włościańskich, Artur Potocki pierwszy całym swoim mieniem poręczył ugodową likwidacyę Banku włościańskiego i akcyę ratunkową rozpoczął tem, że pokrył należytości włościan z dwóch powiatów.

Przytaczamy te szczegóły, jako próby i oznaki tego, co już dokonał i czego był zdolny. A są sfery działania i wpływu, były fakta wyższej o wiele doniosłości, o których mówić się dziś niegodzi i o których na zawsze może zachować trzeba milczenie. Artur Potocki za wzorem ojca i z jego darem stał na straży przed niebezpieczeństwami, które dotyczyły nie jednej tylko dzielnicy — a posiadał też urok i zdolność zjednania sympatyj, wzbudzenia ufności, wykazania krzywd, w czasach, gdy o nas zapominają i nam nie dowierzają.

W szerszej i wyższej sferze europejskiej, coraz więcej rwą się nici, które tylko ludzie wyższych stanowisk i tradycyj nawiązać i utrzymać są w możności.

Im więcej świat ulega niwelacyi, im bardziej wszyscy uznajemy równość zasługi i równość zdolności w życiu publicznem — tem bardziej daje się uczuwać potrzeba mężów, którzyby tę indywidualną zasługę i zdolność łączyli z warunkami, jakie daje wielki ród, wielkie mienie, szerokie w świecie stosunki, odziedziczone stanowisko, a przytem tem szerszy przegląd współczesnego świata, który tylko z tych wyżyn da się objąć. Pójdą oni chętnie za plebejuszem, jak szedł z zapałem Artur Potocki za Zybliekiewiczem i popierał jego stronnictwo; jak szedł ze czią synowską za szlachcicem Grocholskim; ale są zadania, są obowiązki, które oni tylko spełniać mogą. Nie jest to stara tradycya możnowładcza, zerwali

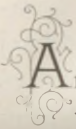
z nią Potoccy Adam i Alfred, i nowe, szlachetniejsze potomności wskazali tory: nie walk rodowych, ani przewagi kastowej, ale wiernej dla kraju służby i moralnego wpływu. Któż zdoła zaprzeczyć, że błogosławieństwem dla kraju, jego zdrowiem i bogactwem jest, gdy na szczytach społecznych stoją mężowie poświęcenia i wyższego umysłu.

Ciężko nas Bóg próbuje, gdy w jednym roku traci społeczność polska trzech mężów, co takie naczelne zajmowali posterunki: we wschodniej części kraju Alfreda Potockiego, w Warszawie Tomasza Zamoyskiego, w Krakowie Artura Potockiego. Pierwszy spełnił zaszczytnie swe zadanie, drugi znajdował się w warunkach, wykluczających polityczną rolę; Artur Potocki stał na wyłomie, rozwijał coraz szerzej działalność na pożytek kraju — opuścił cały szereg posterunków, które tak ochoczo zajął — a instytucje, którym przewodniczył, oglądają się dziś z niepokojem, kto po nim ster objąć zdoła — kraj cały z głęboką ogólną boleścią patrzy na ten otwarty grób, co tyle w sobie zamknie nadziei.

L. Dębicki.

(„Czas“ Nr 72 z dnia 28 Marca 1890 r.)



rtur Potocki urodził się 14-go czerwca 1850 r. Kto wie, jak był powszechnie kochanym dziad, którego on miał nosić imię — ile miłości i czci przysporzyła temu domowi pani Arturowa, kto sobie przypomni orlą młodość Adama Potockiego i bohaterski urok jego postaci, który podwajała nadobna małżonka — ten pojmie, że spływały obficie od maluczkich i od najdosłojniejszych w narodzie błogosławieństwa na pierwszego syna tego stadła, a dziedzica tych tradycyj.

Do chrztu podawał go przyjaciel domu generał Chłopicki. W lat kilka później niezłomny ten żołnierz i wódz o wzroku, który mu godło pioruna zjednał, gotował się na śmierć. Najpierw wezwał kapłana — był nim świeżo wyświęcony X. Golian, a dodajmy tu szczególnie dwóch ludzi charakteryzujący, że młody kapłan idąc spowiadać marsowego starca, ukląkł przed matką, aby jej błogosławieństwo dodało mu odwagi. Po spowiedzi Chłopicki kazał otworzyć podwoje i wpuszczać wszystkich przyjaciół i lud, zatrzymujący się na ulicy; lecz z zegarkiem w ręku oczekiwał w niepokoju najbliższego swemu sercu Adama Potockiego, a gdy ten z Warszawy przybył, umierający Chłopicki rzekł: „Jedną mi jeszcze zrób przyjemność, przyprowadź mi swego syna.“ Gdy stało się zadość temu życzeniu, wódz przytulił do spizowej piersi pięcioletniego Artura i na głowę

jego zlewał błogosławieństwa tego wszystkiego, co czuł dla tego rodu, który szczególniejszą ukochał miłością i wszystkie nadzieje dla narodu, którego wybawić sam nie zdołał...

Był to chrzest rycerski, a chrzest ducha i idei słał Zygmunt Krasiński — on, co do szwagra Adama Potockiego zwracał wzniosłe hasła psalmu *Resurrecturis*.

Wspomnijmy jeszcze najcenniejsze krzyżmo — karabelę po hetmanie Rewerze w lat kilkanaście później przesłał panu Adamowi Aleksander Potocki, niegdyś dziedzic Humania, a od roku 1831 tułacz, cały wylany dla współwygnańców.

Takie łączą się duchy i takie wróżby wkoło tej kolebki. A i pasmo wypadków snuje się przez lata dziecięce i młodzieńcze, uderzając wcześniej w pierś, aby się rozrosła nie na miarę krawca, lecz Fidasza.

Niemowlęciem był ś. p. Artur, kiedy ojciec zamknięty na zamku Wawelskim, skazany przez sądy, uwolniony przez monarchę, podejmuje wraz z żoną i kilku przyjaciółmi pielgrzymkę do Ziemi świętej — lecz już pamięcią obejmuje całą działalność polityczną ojca na Sejmach, w Radzie państwa, jego rozliczną służbę w Krakowie i w kraju — działalność i służbę, którą prowadzić w dalszym ciągu miał być powołanym tak wcześniej.

Od pedagogicznych i dydaktycznych środków, ważniejszym podobno jest ten wpływ ojców na wychowanie synów, który wnika w młodocianą duszę codziennym widokiem prac, ofiar i czynów. Najskuteczniejszym warunkiem rozwoju następnych pokoleń jest wczesna łączność między rodzicami a dziećmi, we wszystkich szlacheckich dążeniach, zasadach, uczuciach — to wspólne tętno, ta atmosfera podniosła domowego ogniska — więcej ona daje, niż mazoła samej nauki. Zbyteczna tu podobno się rozpisywać, jaka panowała atmosfera w tym

domu, i że to ognisko wyjątkowe w kraju w ciągłej styczności z wielkim ruchem europejskim, miało ciepło polskie; wszystko, co było w naszym społeczeństwie znakomitego, tu się spotykało, i wszystko, co się w kraju dobrego lub złego działo, w Krzeszowicach wywoływało najpierw jakąś myśl twórczą, czyn zacny, aby ratować, co ginie — poprzeć, co się dźwiga.

Organizacja rodziny na chrześcijańskich podstawach — to znów więcej niż szkoła. Jaka była od trzech pokoleń organizacja rodu i domu, ze zwierzchnictwem sędziwej matrony wielkiego serca, co szczególną miłością ukochała pierworodnego wnuka — jaki hierarchiczny porządek rodzinny, szanowanie obyczaju i starych zwyczajów, jaki dobór przyjaciół, stosunek z podwładnymi i z ludem — o tem wszyscy wiedzą, a choć tyle przeszło krzyżów i tyle spadło gromów na ten dom, a tylekroć od ośmnastu lat otwierał się grobowiec rodzinny — organizacja domu i rodu niewzruszona, i da Bóg. przetrwa jego tradycja i jego nastrój.

Rósł pod temi wpływami Artur Potocki do lat ośmnastu, mając nauczycielami Michała Starzewskiego a później Franciszka Kluczyckiego, gdy ukończywszy gimnazjum św. Anny w Krakowie, prawdziwe dziecko Krakowa, po raz pierwszy opuścił rodzinne strony i za zezwoleniem ojca, ale z własnego wyboru i woli udał się do Paryża do konwiktu OO. Jezuitów przy *rue des Postes*. Posiadał on ten dar, że przywiązywał się łatwo i przywiązywał do siebie. To też z żalem wzajemnym opuszczał dom Jezuitów, gdy dla zdrowia ojciec postanowił z surowego klasztorного życia przenieść go na uniwersytet wrocławski. Jakie tu zostawił wspomnienia, ile sobie tu serc zjednał — niech powiedzą koledzy ś. p. Artura. Opowiadają oni, że zastawszy liczne grono niezamożnej polskiej młodzieży, zwłaszcza z Górnego Szlązka i z Wiel-

kopolski, zawiązał z nią serdeczne koleżeństwo, bardzo odmienne od niemieckich burschenschaftów; w życiu stosował się do skromnych środków swych kolegów, uczęszczał z nimi do studenckiej garkuchni, natomiast niejednemu pomógł, jak on pomagać umiał. Ów dwuletni pobyt Artura Potockiego w Wrocławiu, pozostanie pięknym wspomnieniem w kronice „nacyi polskiej“ tegoż uniwersytetu, a przed kilku laty odnowiono te wspomnienia na wspólnym zjeździe dawnych kolegów.

Studia uniwersyteckie przerywa obowiązek służby wojskowej, oraz wzmagająca się choroba ojca. Po śmierci ojca, jako jednorocznik, odbywa Artur Potocki służbę w pułku strzelców w Czechach, a kwatery mu przypada w Wittingau, dobrach książąt Schwarzenbergów. Nagle zapadła ciężko na zdrowiu sędziwa księżna Lori Schwarzenberg, jedna z najznakomitszych dam swojej epoki. Nie było nikogo z dzieci naówczas przy staruszce — młody jednorocznik otacza ją swemi staraniami i jedna sobie tem wdzięczność i przyjaźń całej rodziny.

W lat kilka później będzie on podobnie pielęgnował w Łańcucie hr. Alfreda Potockiego — a po sześciotygodniowym czuwaniu przy łożu chorego na ospę — sam uległ tej chorobie, ale poświęceniem swem spotęgował jeszcze miłość i zaufanie ukochanego stryja.

Wyjątkowego to serca oznaki — a to serce we wszystkich stosunkach równie wylane, równie szlachetne! Dzieje tegoż serca jakżeż piękne, jakżeż smutne! Młodzieńcem dwudziestodwuletnim traci ojca — a jak za tą trumną prowadzi matkę skamieniałą od wielkiego bólu — tak do ostatnich dni swego życia będzie jej ramieniem. Dla rodzeństwa także był więcej niż bratem. W szkole poświęcenia dla drugich — znajduje wkrótce szczęście dla siebie.

Pamięta Kraków ten dzień uroczysty, kiedy potomek hetmanów w białej delii wiódł dumnie na Wawel przed ołtarz królowej Jadwigi uroczą księżniczkę Różę Lubomirską. Jakiś czar otaczał tę parę — znać było, że nie tylko dwa wielkie imiona, ale i dwa wielkie, szlachetne łączą się serca. Otaczał nowożeńców orszak świętyny i dostojny — towarzyszyły im życzenia całego Krakowa i kraju całego.

W cztery lata później w piękny poranek majowy z zamku krzeszowickiego wynoszono białą trumnę — a postępował za nią mąż w czarnym ubraniu i z takim wyrazem, iż czuć było, że dziś szczęście całego życia składa w grobie.

Miarą wielkości serca jest zdolność żalu — ten żal nie wstrzymał Artura Potockiego na chwilę od obowiązków publicznych i rodzinnych, owszem, szukał on w nich ulgi — nie wlał mu żadnej goryczy w stosunkach z ludźmi — może go jeszcze zbliżył ku Bogu, ale pozostał chmurą na czole i otwartą do końca w sercu raną. W ostatnim roku jego życia widzieliśmy, jak budząc się zrana, pierwszy rzucał wzrok na otwartą zawsze przed łóżem fotografię żony, która go nigdy nie opuszczała — i tym samym miłosnym patrzył wzrokiem, jak w ów dzień na Wawelu — i z tym samym rozdzierającym żalem — jak wtedy, gdy postępował za trumną.

Tłem więc duszy była uczuciowość — Artur Potocki był przede wszystkim człowiekiem wielkiego serca — lecz nie tylko w odniesieniu do najbliższych i najdroższych, to serce przeważało nie tylko w indywidualnych objawach dla tych, których sobie wybierał na przyjaciół, dla zależnych od niego, dla ludu, dla biednych — a miał miłosierdzie tradycyjne w tym rodzie, i możnaby znów wyliczyć szereg przykładów, które przypadek odkrywa co chwila, a które sprawiają, że dziś płaczą

ś. p. Artura nieznanego, nieszczęśliwego. Nie była to tylko wspaniałość, ale za jałmużną szło zawsze dobre słowo, pamięć i jakieś wysoce chrześcijańskie uszanowanie dla ubóstwa i nieszczęścia.

To wielkie i gorące serce w odniesieniu do spraw kraju, Ojczyzny, Kościoła — było główną podniętą, dźwignią i rękojmą ciągłego postępu na drodze obowiązków i poświęcenia. Miłość bliźniego i miłość kraju zrasta się często w jedno uczucie i daje popęd iście bohaterski; — takim popędem porwany Artur Potocki na odgłos wylewów Wisły i Sanu nietylko spieszy z hojnymi darami dla zatopionych, ale z narażeniem osobistym dociera na łodzi do wiosek zalanych, gdzie ratunku czeka ludność. To był niejako wstęp do życia publicznego, pierwsza akcja ratunkowa w kraju, w którym tak często ratować przychodzi ludzi i instytucje.

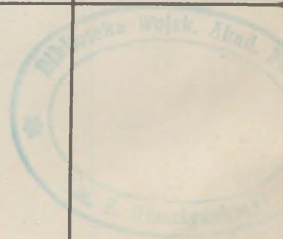
A jak wówczas narażać się sam na niebezpieczeństwo nie wahał, tak się nie zawahał narażać fortuny, gdy chodziło o uchronienie 60.000 rodzin włościańskich w całym kraju od wywłaszczenia.

Uczucie łączyło się z poezją.

Wielkiego świata unikał i nie znosił światowego przymusu, co było niedostatkiem i błędem na jego stanowisku, lecz nie płynęło z wyniosłości lub lekceważenia. Od salonu wolał domek myśliwski i knieję w gronie towarzyszy, a to zamiłowanie polowania niemal w namiętność przechodzące, płynęło z zamiłowania przyrody, było odczuciem jej utajonych piękności, było także miłością kraju rodzinnego nie w abstrakcyjnym tylko pojęciu, bo nad wszystkie dziwy świata, zagranicznych stolic ponęty, wolał on wieś polską i polską knieję. Nie szukał ludzi, ale gdzie ich spotkał, to ich sobie jednał i pociągał magnetyzmem szlachetnej natury; a jak wśród młodzieży uniwersyteckiej, jak na wyprawach myśliwskich tak miał

dar koleżeństwa i w pracach politycznych, w radach i sejmach. O tem zaświadczą wszyscy co bliżej się z nim zetknęli, czy ci, co z nim szli i dzielili drogę, czy ci, co przystępowali z uprzedzeniem i przeciwieństwem kierunku. Magnetyzm, czy jak dziś przezwano sugestya, to czar, który dziś coraz więcej w stosunkach politycznych i towarzyskich znika. Byli u nas ludzie, co posiadali tę tajemnicę wolą swoją oddziaływania na ogół, skupiania i łączenia w szeregi, przekonywania jednych, rozbrajania innych, werbowania nowych sił. Któż pod tym względem dorównał Adamowi Potockiemu w kraju naszym? Czasy się odtąd zmieniły, uprzedzenia wzrosły, zła wiara się wzmogła i jakiś chłód zapanował, a poniekąd powstała i potrzeba podziałów. Lecz czy mamy iść jednostkami czy stronnictwami, niezbędną jest ta siła krystalizacyjna, która daje spoistość społeczeństwu. Brak nam dziś drugiego jeszcze pierwiastka, pierwiastka twórczego wobec przewagi prądu krytycznego, który bywa bardzo cennym do pewnej miary, ale staje się siłą ujemną, przeszkodą produktywności politycznej czy umysłowej, gdy przechodzi tę miarę. Brak nam także coraz więcej zapału, wiary w siebie i wiary w sprawę, wzajemnej ufności, która budzi drugich ufność; a nie mówmy, że te uczucia wystudziły czasy beznadziejne, stosunki rozpaczliwe; nie, bo dnie chmurne w historyi mijają i mgła się rozwiewa, co przyszłość jakby kirem okrywa; lecz to zgnębienie spada na nas nie z samych naszych nieszczęść, ale z książek niemieckich i doktryn o pesymizmie.

W Arturze Potockim był zapał i ufność, był pierwiastek dodatni inicjatywy, twórczości i zdolności przeprowadzenia, co postanowił — był i magnetyzm pociągający ludzi, któremu brakło tylko czasu, aby się rozwinął w pełni do tej potęgi, jaką posiadał Adam Potocki.



Choć w tej duszy objawiała się poezya i marzycielstwo, a uczucie i zapał do wszystkiego co piękne, zacne i wzniosłe, było tłem bogatej organizacyi duchowej, dziwną posiadała ona równowagę. Bystrość umysłu, dar intuicyi, pogląd syntetyczny uzupełniał wielki rozsądek, miara, wytrawność i praktyczność, zdolność analityczna, a w życiu parlamentarnem wielka zręczność w taktyce. A nie rzucał tylko myśli, nie szedł na przebój, lecz wybierał chwilę, przygotowywał grunt, i gdy podjął akcyę, już się nie cofał, i zwykle wygrywał, przeprowadzał co zamierzał. I to były wyjątkowe zaiste przymioty na męża politycznego, może męża stanu w przyszłości.

Dodajmy jeszcze zdolność pracy. Wielki pan kierujący administracyą obszernych własnych dóbr i dóbr swych krewnych, zajmujący się górnictwem w kopalniach państwa Tenczyńskiego, cukrownictwem na Wołyniu i Ukrainie, fabrykami, gospodarstwem rolnem — a przytem zawołany myśliwy, amator rybołówstwa, obejmujący różne strony przyrody i ruchu ekonomicznego w obszarze różnych dzielnic Polski — gdy była potrzeba, umiał zasiąść nad stosem aktów i dokumentów sejmowych i poświęcać dziennie długie godziny operatom komisji sejmowych.

Obok zdolności pracy, dar wymowy. Przemawiał w Sejmie tylko w stanowczych chwilach — w Komisjach i Kole często, rwany młodzieńczym zapałem i wielką dla sprawy gorliwością. Posiadał słowo jasne, uderzał w samo sedno, nie szukał retorycznego popisu, a dlatego właśnie, że bez ozdób krasomówczych z głębszą zawsze treścią czynił wrażenie, czy w dyskusyi sejmowej, czy na uroczystościach z kielichem toastowym w ręku.

Nie piszemy biografii, tem mniej pośmiertnej pochwały, ale drżącą od serdecznego żalu ręką naznaczamy

główne rysy tej postaci, która nam znika tak przedwcześnie. Nie zejdziemy do szczegółów dziesięcioletniego udziału w sejmie, nie będziemy wyliczać różnych instytucyj, którym przewodniczył lub w których zasiadał, długo broniąc się od natłoku zajęć i godności. Do Wiednia mandatu zwlekał się przyjąć, a sędzią w tem, kiedy przyjdzie dla niego konieczny obowiązek przyjęcia mandatu do Rady państwa, obrał sobie czcigodnego prezesa Koła ś. p. Kazimierza Grocholskiego. „Ty mi zastąp ojca i rozkaż — pisał doń — kiedy mam porzucić osobiste obowiązki, aby stanąć na wyłomie.“ Kilkakrotnie wymawiał się od godności członka Izby panów, jak również umiał odsunąć od siebie inne oznaki zaszczytne, jakie mu bywały przeznaczane. Wreszcie powołanym został przez N Pana do Izby panów, ale już cierpiący nie miał tego krzesła zasiadać.

Adam Potocki niósł niegdyś w Sejmie sztandar z programem reform wewnętrznych w kraju a obrony jego stanowiska na zewnątrz, na podstawie zasad autonomicznych i monarchicznych — wytknął kierunek i drogę, lecz stronnictwa nie tworzył. Odtąd potrzeba walki polemicznej ścieśniła węzły grona mężów nauki i mężów działania w Krakowie. Jest to więcej szkoła poglądów na historję i politykę, niż stronnictwo w parlamentarnem tego słowa znaczeniu. Znać ich było w sejmie i czuć w kraju, ale aby temu kierunkowi zapewnić większość, trzeba było szukać sojuszu. Znalazł go Artur Potocki — wiedziony czcią i zaufaniem do Kazimierza Grocholskiego, świadomy sytuacji wiedeńskiej, szczerzy zwolennik systemu, który sobie za zadanie założył ugodową akcyę wśród różnorodnych żywiołów monarchii, ś. p. Artur przeprowadził kompromis konserwatystów krakowskich ze stronnictwem zachowawczem podolskiem. Znał on tego przymierza ujemne strony; lecz gdy program reform

wewnętrznych natrafiał na zbyt wielkie przeciwieństwa, przymierze to podolsko-krakowskie stworzyło poważną większość, zabezpieczającą konsekwencyę naszego stanowiska na zewnątrz. Nowa formacja większości konserwatywnej po ostatnich wyborach na szerszych, może za szerokich podstawach, odbyła się już w nieobecności Artura Potockiego.

Ostatnią walkę, jaką w sejmie stoczył, a dla której odłożył kuracyę rozwijającej się groźnie choroby — to sprawa propinacyjna, niegdyś jeden z pierwszych punktów programu Adama Potockiego. Miała ona w sobie stronę prawno-społeczną, a nawet etyczną, której nie rozwiązała uchwała sejmowa według planu Krzeczunowicza, i miała stronę ekonomiczno-finansową. Pod pierwszym względem mamy dziś zamiast prowizorycznego stanu rozcięcie węzła, pod drugim względem uzyskaliśmy 62 miliony dla uprawnionych, które dają się czuć w kraju, a nie będą ciężać nad krajem. Jeśli w przeprowadzeniu reformy zasługa tu główna sprężystej ręki naczelnika administracyi w kraju — to w ustawodawczem kwestyi załatwieniu główna zasługa Artura Potockiego, który z wielką rozważą, szczegółowem zbadaniem zajął w tej sprawie wyższe stanowisko, i od szczegółów, które badał, przechodził do zasad.

Była w Artura Potockiego poglądach i działaniu programowość, jakkolwiek przedwczesnych ogólnikowych programów głosić nie lubił i nie tracił słów dla efektu — umiał rozkładać zadania na dziś i na jutro i łączyć je w systemat przyszłości: czy chodziło o podźwignienie ekonomiczne kraju, czy o wyższe polityczne i moralne cele. Dziennik „Czas“, którego był Artur Potocki współwłaścicielem, a członków Redakcyi szczerym i wiernym przyjacielem, miał liczne dowody tej wyższości poglą-

dów, łatwości rozpoznania sytuacji, a zawsze najszlachetniejszych pobudek.

Obok sympatyj, jaką budził, miał Artur Potocki także niepopularność. Niepopularność ta płynęła najpierw ztąd, że jawnie stał na straży dobrego stosunku naszego kraju do obecnego ministerstwa. Byłoby rzeczą niewłaściwą do tego wspomnienia mieszać polemikę, ale sądzimy, że przyszłość okaże, że w tej mierze się nie mylił.

Artur Potocki miał sposobność zbliżyć się do tronu.

Od przyjaźni w. księcia Aleksandra, późniejszego cesarza, z Adamem Czartoryskim, nie zdarzył się w naszych dziejach porozbiorowych wypadek podobnego zbliżenia, jak ten, który tak wcześnie a tak tragicznie miał się zakończyć.

Podobne myśli, podobne dążenia były podstawą tego stosunku. Tak to niedawno, a dziś już tylko historyczne zostało wspomnienie, wspomnienie bolesne, lecz zaszczytne, bo wolne od wszelkiej przymieszki osobistej ambicji, od wszelkiej skazy, gdy przyjaźń była tylko zwróconą ku myślom i celom podniosłym potęgą monarchii, jej przeznaczenia i posłannictwa w przyszłości, oraz wpływu na losy naszego społeczeństwa.

Stałość zasad, miał je Artur Potocki odziedziczone i ugruntowane w domu, miał polityczne doświadczenie także jakby w spadku po ojcu, i miał uczucia religijne, które rozwijał i potęgował własną pracą umysłu i sumienia. Głęboko religijny od pierwszej młodości; nieszczęścia wiarę jeszcze wzmocniły, jakiś mistyczny dodały jej urok; ale co rzadsze u nas, czuł potrzebę afirmacji katolickiej, zarówno w kraju, jak wobec Stolicy św.

I danem mu było dwukrotnie pielgrzymować do Rzymu, i składać hołd narodu u stóp Ojca św., a mawiał, że to były chwile najpiękniejsze w życiu. Raz z Janem Matejką, który składał w ofierze wielki obraz Sobieskiego

pod Wiedniem — Artur Potocki należał do grona tych, którzy w dwuwiekową rocznicę obrony Chrześcijaństwa od Islamu, stanęli pod kopułą św. Piotra, w kontuszach z karabelami, jak ich widział w proroczym śnie Zygmunt Krasiński. Ś. p. Artur z tej pielgrzymki powrócił opromieniony nie tylko wrażeniem arcydzieła wiecznego miasta, lecz blaskiem, jaki płynie ze Stolicy Chrześcijaństwa od Namiestnika Chrystusowego. Jako wotum dziękczynne, kazał wykuć artyście w srebrnej blasze obraz mistrza-przyjaciela i przeznaczył go na antepedium do wielkiego ołtarza, przed którym koronował się Jan Sobieski na Wawelu. Najdroższą zaś pamiątką jaką zachował, był dar tegoż przyjaciela, obraz Zmartwychwstania Pańskiego, na tle serca Maryi. Obraz ten wielkiego natchnienia religijnego na sztaludze stał blisko łoża.

Gdy znów przed dwoma laty na jubileusz Leona XIII zbierała się gromadna pielgrzymka polska do Rzymu — Artur Potocki ją wyprzedził, bo go tam powoływał obowiązek wykonawcy testamentu świeżo zmarłego kardynała Czackiego, blizkiego mu krwią i sercem.....

W pełni rozwoju i wewnętrznego postępu, rwany na wszystkie strony nadmiarem obowiązków — Artur Potocki zapada na ciężką chorobę.

Czyliż mamy wspominać te srogie cierpienia, trwające od roku, i męstwo, z jakim dwukrotnie poddawał się operacjom, — a obok męczarni ciała walkę moralną, żal życia tak potrzebnego dla rodziny i kraju i nie bez wielkich powabów, bo choć zgon żony przerwał wcześniej pasmo szczęścia, pozostawała matka, córki, rodzeństwo — a więc była pełnia w domu i w sercu!

Któż odgadnie zagadkę wyroków Bożych? Ha! może w tych czasach niskich — a namiętnych zawiści społecznych — potrzeba, aby ci, co mniemają, że bogactwo i dostojność dają całe szczęście — patrzyli, jak często srodze

tam na szczytach społecznych przychodzi opłacać dar życia i haracz tej ziemi. Wszak ś. p. Artur na parę miesięcy przed śmiercią spotkawszy żebraka — którego, jak zwykle, hojnie obdarzył — rzekł: jakżeż chętnie z tobą bym się mieniał.

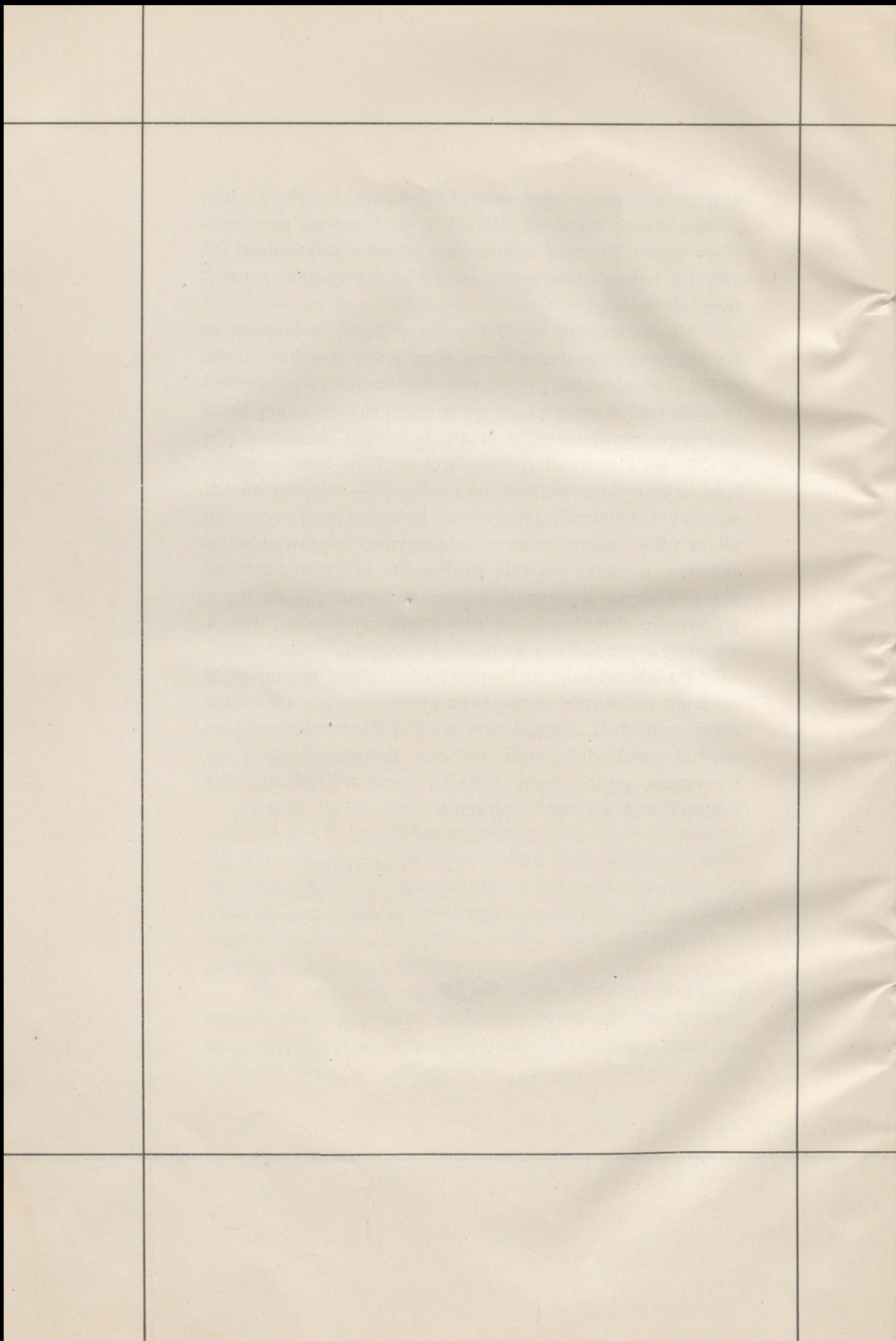
Niezbadane są myśli i zamiary Boże, zwłaszcza, że po tej stronie grobu widoma nam jest tylko doczesności próba, a nieznanie przestwory wieczności o wielkich obietnicach. Raczej ci co go kochali i ci co czują litość nad jego cierpieniami, a stratę publiczną — niechaj wiedzą, że po długich cierpieniach, śmierć ta była pogodną i spłynęły wyjątkowe laski na tę duszę; — niechaj wiedzą, że przy łożu umierającego nie było skargi i wyrzekań, ale w wilię śmierci pasterz dziękczynne odprawiał nabożeństwo, a matka co tyle dźwiga już krzyżów z całą rodziną, korzyła się przed ołtarzem z podzięką za to, że jej syn do chrześcijańskiej przygotowany śmierci, wszystkie religii przyjął pociechy.

Po obrachunku z Bogiem, uśmiechem żegnał córki, oddając po matce pamiątki na życie sieroce — o wszystkim pamiętał, żegnał przyjaciół i domowników i rozmawiał swobodnie; tylko obraz Zmartwychwstającego Chrystusa, pędzla Jana Matejki, kazał zbliżyć ku sobie, i utopił weń gasnące wejrzenie.

L. Dębicki.

(„Czas“ Nr 79 z dnia 5 Kwietnia 1890 r.)





I o tym jeszcze pisać *wspomnienie pośmiertne*? Kiedy się ich już tyle w życiu pisało o starszych i o różniakach, jeszcze o tym, którego się małym dzieckiem pamięta, a na którego się liczyło że pożyje długo, i kiedy starszych nie stanie, będzie wyobrażał, popierał, dźwigał to wszystko dobre, które się kochało, któremu się służyło! Ten, którego było się pewnym, że zawsze tylko dobrego będzie chciał, a złemu wszelkiemu będzie się z całej siły opierał, ten zeszedł ze świata, kiedy jeszcze czterdziestu lat nie skończył! Przy każdym ze starszych, kiedy umierali, miało się bolesne uczucie szkody a niemal krzywdy publicznej: ale przy śmierci tego młodego, odzywa się w duszy coś jak skarga, przypominają się Kochanowskiego słowa: „opakeś to niebaczna śmierci udziałła.“ Narzekać i szemrać się nie godzi, a wstydby był, kiedy ci, co stracili najwięcej a boleść mają najcięższą, przykładem swoim uczą dalszych, jak się mówi, nie słowem tylko, ale uczynkiem *fiat voluntas Tua*. Jednak, wierząc że ta śmierć była na coś potrzebna, a tylko my nie wiemy i nie rozumiemy na co, — wierząc katechizmowi, który każe poddać się a nie pytać i spierać, w tym razie trudniej jeszcze niż zwykle odpchnąć od siebie tę myśl starą jak świat a nigdy nie wytłómaczoną, dlaczego Bóg zabiera dobrych i potrzebnych, a zostawia nieużytecznych i złych? Zjawisko to powsze-

dnie naszego życia, a jego chlebem powszednim jest ta niemożność zrozumienia co się dzieje i dlaczego. Ona to w wielkiej mierze sprawia tę gorycz, którą zaprawny jest nasz chleb powszedni; a choć się wie, że wszystko będzie wytłómaczone i pogodzone kiedyś na tamtym świecie, to nie sposób jest nie dręczyć się temi pytaniami i sprzecznościami, jak długo się jest na tym świecie. W kraju, który ludzi dobrych i tęgich potrzebuje więcej, a ma mniej niż inny, śmierć ścina głowy sterczące nad średni poziom, jak starożytny tyran wyższe makówki. Trudno, na to jej srogie gospodarstwo patrząc, nie frasować się o przyszłość. Ale dopóki zabiera starych, spracowanych, kłosy dojrzałe jak Grocholski lub Alfred Potocki, łatwiej to znieść; plon oczekiwany dopiero, jeszcze niegotowy, nadzieja przyszłego żniwa i pożytku, wyrwany z ziemi w chwili kiedy dojrzewał, to widok boleśniejszy i smutek gorszy. Żałuje się nietylko tego dobrego, które się przez człowieka stać mogło a nie stanie, ale żałuje się także i człowieka samego, że nie mógł zrobić więcej, on, który tak gorąco pragnął i tak sprawnie umiał dobrze robić. Zrozumieć nie można nic, prócz tego, że ta ofiara z własnego dalszego życia, to wyrzeczenie się prac, zasług, pożytków, jakie z niego przyjść mogły, przed Bogiem z pewnością musi znaczyć wiele, i może — sposobem dla nas niewidzialnym ale skutecznym — obrócić się na korzyść tej sprawy, której człowiek widzialnie służyć już nie będzie.

W tem też jest jedyna pociecha i osłodzenie, bo zresztą życie to zostawia wrażenie żalu i goryczy, że się skończyło tak prędko, że jemu samemu po szczęśliwej młodości przynosiło same gorycze i smutki.

Przyszedł na świat w domu jednym z najznakomitszych w kraju, i w domu wyjątkowo u nas bogatym. Młody ojciec nie miał jeszcze czasu ni sposobności do

okazania całej wartości, jaką miał, ale już nieraz (w roku 1846 naprzykład i w 1848) dał być poznać tę śmiałość, dzielność, szlachetność, tęgość głowy a wysokość serca, które sprawiały, że ze wszystkich znakomitych ludzi swego pokolenia, on najwięcej miał w naturze swojej pierwiastków prawdziwie bohaterskich. W owym czasie zaś, w samej połowie naszego wieku, mogło się jeszcze zdawać, że dusza na wielkie rozmiary znajdzie jeszcze kiedyś i pole przestronne, na którym będzie mogła rozwinąć swoje skrzydła i siły. Rok 1848 ze swojemi następstwami był wprawdzie bardzo smutny, bo wydobył na wierzch wszystko złe, jakie kryje w sobie rewolucya, i przekonał wszystkich rozumnych i uczciwych, że ona nic dobrego zrobić nie jest zdolna, — a skończył się zwycięstwem innego złego, despotyzmu policyjnych rządów. Ale wtedy wierzono jeszcze, że z tej walki dwóch sił i zasad złych wyjdzie zwycięzko trzecia, prawdziwa, sprawiedliwość i wolność, że z „chaosu dobędzie się, z myśli Bożej rozwinie się“ nowy i lepszy okres dziejów ludzkości. Ludzie wtedy myśleli i wierzyli, że zadaniem i powołaniem naszego wieku, jego w historii rolę i obowiązkiem, jest wytworzyć i urzeczywistnić prawo publiczne z prawem Bożem zgodne, wprowadzić chrześcijaństwo w stosunki między narodami i państwami: Była wiara, że jedno złe nie będzie zniesionem przez drugie, tylko, że złe będzie zwalczone, zwyciężone przez dobre. A kiedy w domu jakim rodził się chłopiec, wrózano mu z otuchą, że będzie nie smutnym, ale świetnym i szczęśliwym dobrych spraw rycerzem i obrońcą.

Kiedy generał Chłopicki trzymał do chrztu nowonarodzonego synka swego przyjaciela Adama Potockiego, życzliwi uśmiechali się na myśl, że może duch żołnierski z ojca chrzestnego przejdzie na chrzestnika — kto wie, może mu się przyda jak dorośnie!

Kiedy ojciec po swoim więzieniu, po powrocie z podróży wschodniej, osiadł nanowo spokojnie w domu, mógł się cieszyć swoim synkiem. Dziecko w krakowskiej sukmance było ładne, zgrabne, żywe i dobre. Kiedy potem kilkoletni chłopczyk jeździł przy ojcu na kucu i skakał przez przeszkody umyślnie dla niego zrobione, do miary jeźdźca i konia, mówiło się: on będzie tęgi i śmiały. Później tasama o nim nadzieja. W szkole uczył się doskonale, a był w tym zwłaszcza czasie pełen wdzięku. Młodzieniaszek jak być powinien, jakimby każdy chciał widzieć syna albo wychowanka, do wszystkiego skory, pochopny, ciekawy, do ćwiczeń wszelkiego rodzaju wprawny, myśliwy już zapalony i strzelec dobry, w straży ogniowej ochotnik zręczny i śmiały, tak że się w niej jakiegoś stopnia dosłużył, w chodzie szczególnie wytrzymały i szybki, a w skoku istotnie nie do uwierzenia śmigły; z tem bujnym życiem fizycznym łączył najpiękniejsze, najmilsze przymioty młodości „duszę czystą, myśl żywą i serce niewinne.“ Lepiej niż niewinne tylko, bo bardzo szlachetne, rwące się do wszystkiego co dobre, rosnące już wtedy ku tej wysokości, której wzór dawał ojciec, a która była samą treścią i pięknnością natury syna.

Wtedy wróżyło się mu już nietylko że będzie tęgi, ale że będzie bardzo dobry.

Po egzaminie dojrzałości, ojciec bał się dla niego częstego rozpróżniaczenia na krakowskim bruku i krakowskich wieczorach, i dał mu do wyboru kilka zakładów zagranicznych. Odgadując tajne życzenia ojca, wybrał zakład Jezuitów w Paryżu (rue des Postes), sławny podobno zwłaszcza z nauk matematycznych, i w nim się zamknął. Ale rozchorował się tam ciężko; dla lepszego starania przeniesiono go do domu krewnych, po długiej stracie czasu już kolegów dopędzić nie mógł, przerwał więc nauki i udał się na uniwersytet do Wrocławia. Tutaj,

z tem szczęściem do ludzi jakie miał, stał się łatwo środkowym punktem życia polskiej młodzieży, prezesem jej stowarzyszeń, i bardzo się do tych swoich obowiązków przywiązał. Przypominamy sobie rozprawy i wykłady naukowe, które z wielką powagą przygotowywał na jakieś posiedzenie swojego towarzystwa.

W tym czasie przyszła choroba i śmierć ojca.

Młodziutki musiał wszystko porzucić, nauki przerwać, a zostać głową domu, opiekunem młodszego rodu, zarządcą ogromnego majątku. Brał się do tego z pewną obawą i pewną goryczą; życie pokazało mu się wcześniej z różnych swoich stron, a są między nimi i brzydkie. „Czybyś wierzył? już mi podchlebiają!“ — mówił z cichem obrzydzeniem w kilka dni po pogrzebie ojca. W pierwszym roku obowiązków tych pełnić nie mógł; odbywał ochotniczą służbę wojskową, właśnie dlatego od razu, żeby się nią później od ciągu zajęć nie odrywał. Ale odkąd powrócił i objął zarząd swoich spraw, okazał się zaraz zupełnie do nich dojrzałym i zdatnym, z głową jasną, trzeźwą i zaradną, z ręką pewną i silną, i z sercem prawdziwie wspaniałem, które się czuło pierwsze obowiązaniem, gdzie był jaki obowiązek, pierwsze gotowem, gdzie była jaka ofiara do spełnienia. Dobrodziejstw tego młodego chłopca, hojnych a świadczonych z tą szlachetnością uczucia, która wspieranemu oszczędza najłżejszego upokorzenia, dobrodziejstw może piękniejszych jeszcze, w których on swoją pomocą ratował byt i stanowisko, a swoim milczeniem ratował dobrą sławę ludzi, wiele zostało nam w pamięci; więcej może było takich, o których nie wiemy. Sam raz mówiąc o miłosierdziu swojej babki i o sposobie miękkim a nieznanym, w jaki je wykonywała, wyraził się ładnie, że „delikatność, to jest sam kwiat dobrego serca,“ Na gruncie jego serca, ten kwiat, pielęgnowany może tą

ręką dla wszystkich dobrą i miękką, ale dla niego szczególnie pieszczącą, przyjął się bujnie i przez całe życie kwitnął.

Mało światowy (raczej za mało), zwykle rozrywki sprzykrzył sobie prędko; jedno tylko lubił zawsze i namiętnie, myśliwstwo. Była w tem passya, a nawet miłość własna łowiecka; chory na ospę (którą dostał pielęgnując swego stryja Alfreda), nieprzytomny, powtarzał czasem pytanie: „ciekawym, kto po mnie będzie najlepszym myśliwym w Polsce?” Ale było w tej passyi i zamiłowanie natury (zwłaszcza górskiej) i życia niezwykłego, przygodnego, samotnych nocy i wspaniałych wschodów słońca na szczytach gór, długich rozmów z huculami, niebezpieczeństwa czasem. W ciasnych szrankach naszego zwykłego życia zamknięta natura, potrzebowała więcej przestrzeni, więcej swobody, więcej nieprzewidzianego przypadku może. Te polowania w górach, to była poezya jego życia, tej potrzebie odpowiadały jakotako skały, jelenie i noclegi w szałasach, złudzenie (kiedy rzeczywistości być nie mogło) innych trudów i niebezpieczeństw, innych strzałów i noclegów pod namiotem. Własna przyjemność zaś łączyła się z dobroczynnością i z pożytkiem dla okolic, w których polował. Ksiądz Metropolita Sembratowicz, który zjechał na jego pogrzeb, a w którego dobrach właśnie odbywały się coroczne polowania, opowiada, że ludność tych gór przywiązała się do Artura z rodzajem fanatyzmu, nazywała go swoim panem, i że nie zechce uwierzyć w jego śmierć, którą będzie miała za swoje nieszczęście.

Za młody jeszcze do publicznego życia, ściał przecie oczy i nadzieje wszystkich. Jak na niego przyjdzie czas, to z niego będzie pociecha! A tymczasem na zakończenie pierwszej i szczęśliwej młodości, miało mu życie dać jeszcze co ma najlepszego... żeby to zaraz odebrać.

Miał lat dwadzieścia siedm, kiedy się ożenił.

Jak często w naszym wieku, w jego sferze zwłaszcza, kojarzą się małżeństwa z namowy, albo z przekonania, że się ożenić trzeba, przy jakim-takim średnim stopniu upodobania w osobie, którą się bierze za żonę! Nie mówiąc o takich, którzy się żenią z wyrachowania, dla posagu, w małżeństwach zupełnie uczciwie a nawet szlachetnie zawieranych, miłość prawdziwa i wielka częściej jeszcze przyjdzie po ślubie, niż do ślubu prowadzi. U niego stało się inaczej. Zobaczył dziewczynkę zaledwo wychodzącą z lat dziecinnych, krewną, ale od wielu lat nie widzianą, tak, że zobaczył ją prawie po raz pierwszy, i odrazu uczuł, że nic co dotąd znał w życiu, nie robiło mu takiego wrażenia, nie dostawało się tak do serca, nie budziło w nim jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, takiego wiosennego rozkwitu uczuć, nadziei, marzeń, powabów, słodczy, jakich przedtem nie znał, nie domyślał się w sobie. Ona także na pierwsze spojrzenie doznała jakiegoś przecucia dziwnego: ledwo go ujrzała, nie wiedząc jeszcze kto on jest, pokazała go matce, mówiąc, że to ktoś, co wywrze jakiś wpływ na jej los i życie.

Była pełna wdzięku, tak, że aż prawie nie rzeczywista, nie dla tego świata. Oczy prześliczne, ogromne, głębokie i rzewne, tylko takie tęskne i smutne, że wyraz ich nie dawał się pogodzić z jej młodością i szczęściem; później tłómaczono go sobie przecuciem rychłej śmierci. Przesunęła się też przez ten świat jak dźwięk, jak blask tęczy, jak „cień przelatującego anioła.“ Ale w tej idealnej, prawie nie rzeczywistej postaci, była rzeczywistość piękniejsza duszy nietylko szlachetnej, ale silnej, najdoskonalszej prostoty serca, wychowania, pojęć, pragnień i rzeczywistość bardzo obiecującego umysłu. Ta młodziutka kobieta, która umierając miała zaledwo lat dwadzieścia

jeden, była mądra i nie na swoje młode lata tylko. Nieśmiała i cicha, względem starszych niezmiernie uległa, bardzo rzadko odkryła się ze swemi myślami, ale wtedy zadziwiała swoją dojrzałością i trafnością swego zdania, rzadką pewnością swego taktu. Kochająca męża i zakochana w nim całą duszą, widziała przecież doskonale to, co w jego usposobieniu mogło się nie podobać ludziom, a przeto jemu w życiu przeszkadzać, — i pomału, nieznacznie, niewidzialnie, umiała przeciw temu działać i to usuwać. Gdyby była pożyła, gdyby była doszła do tej powagi, jaką żonom dają lata, mąż byłby nietylko został szczęśliwym, ale byłby z pewnością wyrobił się jeszcze piękniej, w doskonalszej harmonii i równowadze.

Szczęście swoje oboje chowali przed ludźmi prawie zazdrośnie, jak żeby przeczuwali, że niedługo cieszyć się niem mieli, i jak żeby żalowali każdego dnia i godziny. Dobrze było im, kiedy byli sami, a najlepiej, kiedy mogli na parę tygodni zamknąć się w Staszowie, w małym domu, do którego zaglądało tylko paru blizkich przyjaciół. Ztąd wynikło, że młoda pani Arturowa była ludziom mało znana; jedyny właściwie raz co pokazała się na szerszym świecie, to kiedy podczas podróży Cesarza w roku 1880 przyjmowała go u drzwi swego domu w Krakowie, a potem mężowi towarzyszyła do Lwowa. Byłato ładna i obiecująca chwila, kiedy młody obywatel zaczął być na widoku i znanym nie swojemu tylko krajowi; ostatnia niestety chwila jego szczęścia. Zaraz potem stan żony się zmienił, a w maju roku następnego zaszła jej śmierć i nowonarodzonej trzeciej córeczki.

Potem żal ponury, głuchy, bez skarg i narzekań. Z wyjątkiem najbliższych chyba, nigdy on o swoim nieszczęściu nie wspominał, nigdy przez te wszystkie lata imienia żony nie wymówił; co najwięcej, wtrącił czasem nawiasowo jakie ciche słowo o życiu złamanem,

w którym dla siebie niczego już nie żądał i spodziewać nie mógł. Nie byłato rozpacz namiętna, wulkaniczna, a przez to samo zdolna jakiegoś przesilenia; była męczarnia człowieka bardzo uczuciowego a głębokiego i zamkniętego w sobie, tem trudniejsza do ukojenia, że on u nikogo ulgi nie szukał; tembardziej niepokojąca ze względu na jego zdrowie, że od dzieciństwa nerwowo bardzo, po swoim nieszczęściu stracił zupełnie sen, i na długo. Siłą woli panował nad sobą i udawał spokojność przed ludźmi, ale znać było, że wewnątrz szarpie się i pasuje ze sobą, że postępuje w nim taka stopniowa skamieniałość duszy, jak w tym strasznym wierszu Krasieńskiego, gdzie po każdej nowej myśli powtarza się złowroga zwrotka „nic mi jest wszystkim i wszystko mi niczem.“

Dla siebie samego z pewnością tak on na życie patrzył. Byli tacy, co kochając go a widząc niepokieszonym, litując się jego młodości i przyszłości, prawie mieli do niego żal za ten żal tak ciężki, prawie oskarżali, że się zbyt w swoim smutku rozmiłował. Zapewne, może byłoby szczęśliwiej dla niego, gdyby był innym; tylko nie zależało od niego być innym. Nie sama tylko rodzicielska boleść może mówić „mam powód się kochać w tym smutku — bo smutek zajął miejsce mej dziecińcy.“ Prawda, on po tem nieszczęściu nie był już nigdy taki jak dawniej; prawda, w kwitnącej młodości, w trzydziestu latach, ten zgon, „owiał pęk młodych uczuć i zwarzył jak jesień;“ prawda, nie mógł znieść ani cienia tej myśli, żeby jakaś inna zajęła w jego sercu i domu miejsce tej, którą stracił. Ale w tym żalu nie było ani pogańskiej rozpacz, ani romantycznego rozkochania we własnym cierpieniu. To nie był bohater Malczewskiego, który ze swoją miłością i swoim szczęściem „odrazu wszystko w świecie traci“. On całem

swojem późniejszym życiem pokazywał wprawdzie wyraźnie, że „życie tylko boli, gdy kwiat jego zginie;“ ale pokazywał również, że jak chrześcianin dobry i jak człowiek wielkiego serca, nie sam tylko kwiat w życiu miał i widział. Kwiat zginął, ale cel został, i obowiązek został, i owoc z tego życia przecież zostać powinien. „Życie tylko boli“ — ale jest; i dopóki jest, powinno być uległem względem Boga, a przydatnem dla ludzi. A więc nie „*nic mi jest wszystkim, a wszystko mi niczem*“: tak jest tylko istotnie dla mego osobistego szczęścia. Ale dla Boga w niebie, dla ludzi i spraw dobrych na ziemi, nie obojętność i skamieniałość, ale „*rozdarwaj siebie samego swej braci*.“

To jest historia Artura od śmierci żony. W tej zmartwiałości, w której był pogrążony z początku, byłby zapewne pozostał dłużej, gdyby potrzeba drugich nie była go z niej wyrwała. Łatwość poświęcenia się, i to uczucie obowiązku wysokie, które widzi obowiązek w tem co już jego miarę przechodzi, to były najwyraźniejsze cechy i przymioty jego duszy, które po ojcu odziedziczył, a miał w mierze nie mniejszej jak ojciec. I przez nie dał się wciągnąć w życie nanowo. Od początku wprawdzie miał dość mocy nad sobą i odwagi, żeby załatwiać wszystkie sprawy, które do niego należały, ale załatwiał je mechanicznie; kładł w nie uwagę i pilność, nie kładł duszy, nie kładł tej zaciętej woli, żeby koniecznie coś nowego i lepszego utworzyć. Szczerze, naprawdę, już z popędem oddanym jakiejś czynności, pamiętamy go po raz pierwszy od owej straty przy obchodzie dwóchsetnej rocznicy Bitwy wiedeńskiej, kiedy chodziło o nabycie *Sobieskiego* Matejki, kiedy się pokazało, że Matejko przeznaczył swój obraz na dar od narodu dla Głowy Kościoła. Przypominamy jego bardzo piękną mowę na zamkowym dziedzińcu, 13-go września

1883 roku. To był pierwszy akt budzącej się na nowo ochoty do życia. To było też umocnieniem tego serdecznego związku, który go łączył z Matejką: jak następna wspólna podróż do Rzymu z obrazem, i dwie wówczas audyencye u Leona XIII, były może pierwszym jego od śmierci żony przyjemnem wrażeniem i wspomnieniem.

Niebawem sprawy publiczne wielkiej wagi zapotrzebowały jego rady i poświęcenia. Dawniej już dał był świetny dowód silnej woli i umiejętności w rzeczach finansowych, kiedy się podjął uporządkowania interesów swego stryja Alfreda. Stary ksiązę Roman Sanguszko miał na wspólkę z zięciem fabryki cukru; rozwijał je na wielką, aż niebezpieczną skalę; pan Alfred Potocki, z tą dobrocią serca, która mu była właściwą, nie chciał się sprzeciwiać teściowi, starcowi, nieszczęśliwemu i kalece, więc choć nie bez obawy, zezwalał na zmiany i śmiało przedsięwzięcia. Przyszedł nagły i wielki a długotrwały spadek cen cukru, a wskutku tego znaczne i trudne zawikłania w sprawach majątkowych pana Alfreda. Do rady wezwano Artura; ten podjął się rozwikłania sprawy, pod warunkiem, że sam będzie ją prowadził, aż do zupełnego uporządkowania. Wziął więc wszystko na swoją odpowiedzialność, użył własnego kredytu, i w czasie daleko krótszym niż był oznaczył, pospłacał należytości, podniósł dochody, przywrócił równowagę, i wtedy dopiero złożył z siebie ciężar tych spraw, kiedy je z labiryntu na prostą równą drogę wyprowadził. Wspominamy o tem przejściu jako o najznacniejszym z tych ratunków, jakie on dawał prywatnym majątkom polskim; ale fakt ten nie był wcale jedynym. Niejednej rodziny byt, nie jeden wielki obszar polskiej ziemi, podobnie był uratowany jego głową i ręką.

Teraz przyszła potrzeba ratowania nie już ludzi i majątków prywatnych, ale samej niemal podstawy bytu

społeczeństwa. Był we Lwowie *Bank Włościański* osławionej i brudnej pamięci, założony niby dlatego, by łatwym kredytem wspomagać lud wiejski w spłacaniu lichwiarskich długów i w posiadaniu ziemi go utrzymać. Naprawdę lichwiarski sam, oszukańczy i zdzierczy, z łatwowierności i niewiedomości ludu korzystający podstępnie. Nieuczciwy zarówno względem wierzycieli swoich, jak względem dłużników, Bank ten runął; a wtedy wierzyciele mieli należytości swoich poszukiwać na jego dłużnikach. Dwadzieścia kilka tysięcy rodzin włościańskich miało w nim pożyczki, dwadzieścia kilka tysięcy gruntów było obciążonych i przy likwidacyi musiało uleść sprzedaży przez licytację; czyli, te wszystkie tysiące rodzin miały pójść z torbami na żebry, te tysiące gruntów w wartości około pięciu milionów reńskich, miały przejść na własność nowych nabywców, żydów albo przybyszów. Nie przez ucisk obcy, nie przez komisye kolonizacyjne wymyślone na eksterminację polskiego żywiołu, ale przez prostą chciwość i nikczemność, przez proste szalbierstwo i zdzierstwo, w którym niestety umoczyło palce i paru Polaków — miały się zachwiać przez wywłaszczenie włościanina-Polaka same podstawy naszego społecznego składu, same warunki narodowego bytu. Ratunek doraźny i na wielką skalę, był koniecznością i obowiązkiem. Jeden człowiek oczywiście dać go nie mógł, przedsięwzięcie było na jednego za wielkie. Radował się kraj sam przez ludzi z głową, z poświęceniem, ze znacznymi środkami. Ale między tymi, jednym z pierwszych i pracą i pomysłowością i poświęceniem, był Artur Potocki; i między widocznymi, najłatwiejszemi do zapamiętania jego pięknymi czynami, ten powinien być zapisanym nazawsze. A jeżeli nie wszystko on zrobił, jeżeli nie wszystkich zagrożonych włościan i nie całą zagrożoną ziemię sam ocalił, to przecież ocalił niemało sam jeden.

W dwóch powiatach (swoich najbliższych), zapłacił ze swojej kieszeni wszystkie należności Banku włościańskiego za włościan dłużników. Gdyby w obronie tej ziemi był przelał część swojej własnej krwi, nie byłby bronił jej lepiej, aniby większą był miał zasługę.

Ta cała czynność ratunkowa, dodana do wszystkiego co o nim dawniej wiedziano, wyniosła go na jednego z bardzo znaczących ludzi w kraju, nie stanowiskiem tylko, ale własną wartością. W życiu politycznym musiał zająć miejsce wysokie, skoroby tylko do niego przystąpił. Z wielką do niego chęcią i rzetelnym powołaniem, w pierwszych czasach po śmierci żony nie czuł się na siłach, i kiedy go namawiano, żeby wszedł do Rady Państwa, odmawiał. Lecz kiedy czas uspokoił, nie żał, ale pierwsze wstrząśnienie, po paru latach wszedł do Sejmu.

Przynosił on do tego zawodu przymioty i warunki bardzo szczęśliwe: głowę jasną i trzeźwą, wiele spokoju i zimnej krwi, pomimo wielkiej żywości, nawet drażliwości, uczucia; wielką stałość w zdaniu, a wyrozumiałość na zdanie drugich i zdolność porozumiewania się z drugimi; wreszcie umiejętność postępowania z ludźmi i baczność troskliwą, żeby ich niczem nie razić, lub nie gniewać. Przymioty te były zapewne wrodzone, ale z wyjątkiem tego jednego, że był ludziom miły, były, sądźmy, więcej wyrobione, zdobyte wolą i panowaniem nad sobą. Z charakteru dość absolutny, a z temperamentu nerwowy, nie mógł on mieć tej zimnej krwi, spokojności i cierpliwości, bez wielkiej nad sobą pracy. Ale był jednym z tych, co z doświadczeń dawniejszych umiają wyciągać naukę, a bardzo być może, że pamiętał i niejedną z doświadczenia przez ojca mu daną; miał prócz tego doskonałego doradcę w stryju, niepospolitym znawcy spraw politycznych i naszego społeczeństwa, a sam przez się

rozumny i rozważny, wstępował w życie publiczne dobrze przygotowany. Wiedział, że trzeba umieć panować nad sobą; wiedział, że nie trzeba wrywać się ze swoją myślą, czy dążeniem: że zwłaszcza w jego stanowisku, konieczna jest wielka uwaga i miara. Rzecz to dziwna i trudna do pogodzenia, ale niemniej rzeczywista i rzecz można tradycyjna, że człowiek, jak on bogaty i świetnego nazwiska, ma u nas prawie zawsze bardzo łatwy wstęp i początek zawodu, otacza go życzliwość, przyjaźń ludzka, czasem wyrozumiałość i pobłażliwość aż zbyt duża. Ale kiedy już żyć i działać zaczął, kiedy sobie sam jakieś stanowisko zrobił, wtedy budzi się nasz wrodzony zmysł egalitarny, i jak żeby w obawie, by ten człowiek nie wyrósł za wysoko, nie stał się zbyt silnym, dana mu zrazu *à conto* życzliwość, zamienia się w jakąś nieufność i podejrzliwość. Za dawnej Rzeczypospolitej posądzaliśmy królów, że chcą *absolutum dominium*, obywateli, że chcą zostać królami; dziś o koronę nikt się nie stara, ale dziedziczne usposobienie w nas zostało, i obawia się, że ten lub ów „czegoś chce,“ gdzieś nas chce prowadzić“. Artur Potocki z głęboką znajomością położenia, z delikatnym taktem, nałożył sobie to prawo i tę regułę, żeby czynnym będąc zawsze i gorliwie, nigdy nie występować bez koniecznej potrzeby; żeby mówić tylko, kiedy istotnie nie mógł nie mówić, żeby mówiąc, nigdy nie szukać efektu, nie zwracać uwagi na swoją wymowę, czy osobę. Tą szlachetną uwagą i miarą, tą wstrzemięźliwością słowa, odznaczył się zaraz w pierwszej sesji sejmowej, do której należał; był posłem prawie do zbytku skromnym i trzymającym się w dalszych rzędach. W komisjach zato, pracował pilnie a przemawiał chętnie, bo tam o rzecz samą chodzi, tam pole najspсобniejsze i do obrony swojej zasady i do pokazania swojej znajomości rzeczy. Kto wie, czy takim postępowaniem nie rozbroił wielu

uprzedzeń, nie pozyskał wiele ufności i sympatii. Jedną ufność w każdym razie zdobył, cenną i chlubną, a do zdobycia niełatwą. Grocholski tak do zbytku ostrożny, czasem aż podejrzliwy, względem Artura i sam otwarty był zupełnie i w jego szczerość zupełnie wierzył. Piękny był i rokujący dobre nadzieje dla naszych parlamentarnych stosunków, ten związek zaufania między starym przewodnikiem, schodzącym z pola, a młodym posłem, który zdawał się przeznaczonym na jednego z przewodników kraju w przyszłości.

Jako człowiek polityczny, Artur miał przymioty wielkie: zdawało się, że trzeba tylko zbiegu szczęśliwych okoliczności, na to, by one rozwinęły się zupełnie i zajaśniały wielkimi oddaniami usługami. Te okoliczności nie przyszły, zamiast nich przyszła śmierć; ale niemniej rzeczywisty i piękny był w nim zasób politycznych zdolności. Żeby zacząć od tego, co najmniej ważne, mówił bardzo dobrze; bez popędu i świetności ojca, nie taki orator, w dyskusji i argumentacji nie był od niego słabszy, a był do niego podobny, nawet tem, że czasem aż do zbytku dosadny i gruntowny w swoim wykładzie. Nie unosił się nigdy, bo nie chciał, bo sobie raz na zawsze założył wędzidło; ale miał życie w słowie, a jego spokój podszyty był zawsze uczuciem i przekonaniem, gorącą chęcią przekonania drugich; czcym nie był nigdy w swoich przemówieniach, ani oklepanym, ani mówiącym dlatego tylko żeby mówić, żeby jakaś sprawa, broń Boże, bez jego głosu się nie obesła.

Uważano zwykle, że był szczególnie usposobiony do spraw finansowych i ekonomicznych, że rozpoznał się w nich zawsze bardzo łatwo i bystro, umiał upatrzyć i wskazać środki jakie były do użycia, by dojść do pewnego celu, czy oszczędności, czy możliwości wydatkowania. Był też stałym, koniecznym członkiem sejmowej

komisji budżetowej, a w końcu jej przewodniczącym. Istotnie, cechą jego umysłu, była logiczność ścisła, prawie matematyczna; ale była w nim i szerokość pojęcia, która ze ścisłością nie zawsze chodzi w parze. A jeżeli znał i rozumiał dobrze ekonomiczne położenie kraju, to niemniej bystro ogarniał wzrokiem jego ogólne położenie polityczne; przenikliwie a trzeźwo widział naprzód skutki, jakie z pewnych przyczyn (uczynków czy zaniedbań) wyniknąć mogły; zmysł polskiego interesu miał bardzo czuły i wyrobiony, a znał ten interes pod wszystkimi jego warunkami, we wszystkich, nietylko galicyjskich stosunkach. Są usługi przez niego właśnie na takim szerszym polu oddane, o których z wielu względów dziś mówić nie można, a których pamięć z czasem może zupełnie zaginać, jak znikną świadkowie jego czynności. Jednak choć w opowiadania wdawać się nie można, to godzi się przypomnieć ogólnie, że miał przymiot jeden, między nami rzadki: zdolność i umiejętność wykonania tego, co było uznanem za dobre i potrzebne. W tem wykonywaniu był śmiały i stanowczy, nie wahał się iść na przebój, kiedy mu stawiano przeszkody, i umiał sobie dać radę, tak, że nieraz udało mu się to, co się bardzo trudnem i wątpliwem wydawało. W tej jego śmiałości było naturalnie zaufanie do siebie samego, było to uczucie, że wola prawdziwa i stanowcza może przecie czasem przeszkody złamać i na swoim postawić; ale była i ostrożność, rozważa, obrotność. Była umiejętność milczenia, i zręczność wcale przebiegła w odkryciu tej słabej strony, za którą można przeciwnika uchwycić, albo z niej przeciw niemu skorzystać. Ambicyi miał dużo i nie krył się wcale ze swoim pociągiem do spraw publicznych, z zamiarem, żeby do nich czynnie, i jeżeli się da, poważnie należeć. Kiedy ochłonął z pierwszego wrażenia po swoim nieszczęściu, ten zawód, ta nadzieja, były

może jedyną rzeczą, które go nęciły. Ale ambicya to była dobrego i szlachetnego człowieka, z sercem prostem i chrześcijańskim sumieniem. On sam nie był nigdy jej celem. Pragnął działać, znaczyć, pragnął *módz*: ale w tem pragnieniu, siebie miał zawsze za środek tylko i narzędzie, a celem było to dobre, ten pożytek, to podniesienie kraju i sprawy, które z jego działania mogło wyniknąć. Nigdy też nie było w nim niechęci do jakiejś sprawy, dlatego, że mogła być niechęć lub nieufność do ludzi, którzy jej dali początek. Zachwiać coś i podkopać w opinii ludzkiej, skrzywić, nie dopuścić, dlatego, że myśl nie od niego wyszła: tego nie było nigdy na chwilę w jego duszy, ani w jego działaniu. Wady mógł mieć: — jedną z głównych była pewna nierówność w czynności, którą lubił prowadzić z natężeniem i wysileniem zbyt czynnem, po którym wyczerpany, musiał ustać i sfolgować, licząc na siebie, że po koniecznym wypoczynku odbije czas stracony i nie zostanie w tyle za sprawą, która go zajmowała. I istotnie tak bywało; jednak to prawda, że jego energia była wielka, ale nie była równa, miała puls czasem zbyt przyspieszony, a czasem znowu (na krótko) zbyt wolny, co wszakże nie wykluczało wcale wytrwałości; owszem, była ona, i wielka, zacięta nawet; tempo zwalniał czasem, ale sprawy podjętej nie porzucal i nie odstępował nigdy. Jeżeli zaś jako człowiek, wady mieć musiał, to małości nie miał żadnej. Pobudka niska, lub złośliwa, przyjemność w dokuczeniu, pamięć doznanej urazy, cóż dopiero zazdrość, to wszystko były rzeczy nie istniejące, które nigdy nawet jako przemijające pokusy nie powstały w jego duszy; były z góry i raz na zawsze zwyciężone wrodzoną szlachetnością. Jeden przyjaciel znacznie od niego starszy, Niemiec, który go cenil bardzo wysoko, wyraził się raz trafnie, mówiąc o jego przewidywanej śmierci, że nie łatwo i nie prędko znaj-

dziemy drugiego, któryby był równie *hochherzig*. Wysokie, wspaniałe prawdziwie serce we wszystkim, w najdrobniejszych codziennych prywatnych jak w publicznych sprawach, to było główne piękne znamię jego duszy, po którym zawsze można go było od razu i zdaleka poznać między ludźmi, bo mało ich było jemu pod tym względem równych.

Miał on wyraźne cechy — ale dobre — tego pokolenia, które zaczynało myśleć i rozwijać się już po roku 1863, a ci podobno więcej od starszych mają zasługi (bo więcej trudności) kiedy, są dobrzy i wierni. My rośliśmy — pomimo wszystkich zdarzeń smutnych — w atmosferze nadziei, w wierze, że świat okropny jest tylko dziś, ale zmieni się na lepsze z pewnością i niedługo. Ta nadzieja i wiara zawiódła później, ale tak nam przeszła w krew za młodu, tak nam osiadła i ustaliła się w duszy, jako warstwa podstawna wszystkich pojęć i dążeń, że choć przyszły zawody a panowanie zlego wzmogło się i rozszerzyło w naszych oczach, ona przecie została na dnie, jako fundament żywotów. Ci młodzi, którzy byli dziećmi, kiedy sprawa polska zapadła się w przepaść, a byli młodzieńcami, kiedy zawałiła się w roku 1871 Europa i tylko Prusy z Rosją zostały jako arbitry jej losów, ci żeby wierzyć w dobre i dobremu służyć, nie mieli żadnej z zewnątrz podpory ani otuchy, mieli tylko tę, jaką we własnej duszy znaleźć mogli z łaski Boga, z wpływu rodziców, i z własnej wreszcie zasługi. Oni potrzebowali więcej niż my hartu i cnoty, żeby walczyć, bo od dzieciństwa nie przypuszczali nigdy rychłego zwycięstwa, i w chłopięcych jeszcze latach musieli sobie powiedzieć, że cokolwiek zrobią, to skutek ich trudów i poświęceń będzie w najlepszym razie częściowy, nieznaczący, mały. W tym ślubie poświęcenia żywota na służbę Ojczyzny, jaki każdy młody Polak

składa w swoim sercu, kiedy do lat młodzięcych przychodzi, dla nas tkwiły nadzieje szczęścia i tryumfu, dla nich był gorzki pierwiastek wyrzeczenia się jednego i drugiego, była świadomość, że złe jest mocne, a oni słabi, i że czekać trzeba będzie długo, dłużej, niż ich życie, dłużej może niż pokolenia całe, żeby złe przetrzymać i doczekać się tej chwili, w której ono „rozpocznie samobójstwo swoje.“ Oni potrzebowali więcej odwagi i więcej ofiary niż my, żeby ten ślub wykonać i żeby go dotrzymać. Ale mieli też — ci z nich, którzy dobrymi i wiernymi byli i zostali — przymioty zastosowane do czasu i położenia, jak żeby natura polska była się w tych zmienionych warunkach sama zmieniała, podobnie jak zmienia się budowa zwierząt podług warunków i potrzeb w jakich żyją. Oni byli mniej lotni od nas, mieli mniej fantazyi i poezyi, może w uczuciu mniej tej zapalnej i namiętnej siły, która do nas dostała się od bezpośrednich poprzedników, a może właśnie od tej wiary w świat i ludzi, w którejśmy rośli. Ale ich głowy chłodniejsze, były od naszych trzeźwiejsze; ich charaktery od młodości do wyrzeczenia się zmuszone i włożone, były i giętsze i zarazem hartowniejsze; oni nauczeni patrzeć na świat bez złudzeń, mieli łatwiejszą i jaśniejszą niż my świadomość rzeczywistości, a ich uczucie nie tak zapewne burzliwe i głośnie, nie było ani mniej wytrwałem, ani mniej silnem jak nasze. Oni niemniej dobrze wiedzieli co być powinno, ale prędzej i bystrzej od nas przywykli dostrzegać to co jest, rozumieć to, zdawać sobie sprawę z przesmyków, któremi można wymijać złe jakie jest, żeby się gdzie o skałę nie rozbić, lub na mieliznie nie osiąść. Do praktycznego życia byli usposobieni lepiej, polityczny zmysł mieli wcześniej obudzony i bardziej rozwinięty, aniżeli ich poprzednicy w podobnym stopniu rozumu i zdolności. Artur był w swoim

pokoleniu jednym z najlepszych: ale był jego wyobraźcą wiernym i dobrym, miał ten rodzaj umysłu, charakteru i publicznego ducha. Przez to zaś, że miał to usposobienie tak potrzebne i pożądane, a w mierze tak wysokiej jak rzadko który z jego rówieśników, przez to, że łączył je z wyjątkową istotnie siłą szlachetnych popędów, przez to wiązało się tyle do jego życia nadziei i ufności, przez to już dziś, w miesiąc ledwo po jego śmierci, tak się w każdej czynności czy trudności czuje, że go niema.

Nie możemy tu opowiadać jego zachowania się we wszystkich szczegółowych sprawach sejmowych: ogółem tylko przypomnieć mamy obowiązek, że nie było sprawy ważniejszej, któraby się bez jego udziału i wpływu obeszła, zwłaszcza, jeżeli była drażliwą, jeżeli przez obrót nieszczęśliwy, lub źle powziętą uchwałę, mogła sprowadzić zawikłania, bądźto wewnętrzne, bądź w Wiedniu. Stanowczość Artura Potockiego, a zarazem wyrozumiałość i spokój z jakim przyjmował zdanie przeciwne, sprawiały, że rola pośrednika i negocjatora między powaśnionymi stronami przypadła mu często, a przez to nierównie on więcej w Sejmie znaczył i działał, niż na jego posiedzeniach występował. Posiadający wielkie zaufanie Grocholskiego, wywierający tyle wpływu na swego stryja, ile mu sam ulegał, w porozumieniu ścisłym i szczerem z tymi, których nazywano posłami krakowskimi, bardzo dobrze widziany przez posłów sanockich, miał przez to wszystko szeroką podstawę do działania w Sejmie. A kto w ostatniej kadencji zasiadał, ten pamięta, jak gorliwym i jak nieraz skutecznym było jego działanie, jak było rozumnym i dobrem, nawet kiedy nie odnosiło skutku. Przypominamy tu z roku 1884 wniosek p. Hausnera w sprawie statutu organizacyjnego kolei Państwa, z tegosamego roku sprawę ratunku po klęsce powodzi

(podczas klęski samej był Artur niezmordowany w czynności, a niewyczerpany w hojności) i sprawę zabezpieczenia kraju od powodzi przez regulację rzek; potem ustawa o rybołóstwie i szereg projektów, wniosków, rozpraw, dążących do wynalezienia sposobu, jak wystarczyć koniecznym wydatkom, a w budżecie zaprowadzić równowagę; przez cały ciąg kadencji, obrady Koła posłów włościańskich i ich praktyczne skutki; usilne (choć bezskuteczne) starania, by ustawie drogowej dać obrót szczęśliwy z zasadą słuszną i praktyczną — i tak dalej do końca, aż do ostatniej uchwały, którą Sejm w jego obecności powziął, do tej ustawy o zniesieniu propinacyi, którą już niegdyś jego ojciec wskazywał jako konieczną i pilną, którą on tak brał do serca, że już chory nie chciał się leczyć, dopóki nie doszła szczęśliwie do końca.

Pominać musimy jego przewodnictwo w Radzie powiatowej chrzanowskiej i w Towarzystwie Rolniczem krakowskiem, i w Radzie nadzorczej Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń (gdzie szczególną podobno odznaczał się znajomością rzeczy i zręcznością). Jedno wszakże wspomnieć musimy: Nie miał w Sejmie pola — dzięki Bogu — do występowania w obronie wiary i Kościoła, ale przekonanie miał pod tym względem wyrobione i zahartowane. Nigdy, nawet w latach niedojrzałej młodości, nie dał sobie zachwiać ani odebrać wiary: miał ją żywą, czynną, i wypełniał zawsze wszystkie praktyki, do których wiara obowiązuje człowieka, u którego jest szczerą. Rzecz to w naszym wieku u ludzi młodych rzadka, zwłaszcza może rzadka u takich, którym łatwość życia i dostatek przymnaża pokus, a samą pychę głaszcze i rozwija.

Umysł obejmował i pojmował bystro całość spraw, serce rwało się do każdej, która była potrzebna i dobra. Z tem usposobieniem i przygotowaniem, z tem znacze-

niem jakie sobie wyrobił, ze związkami przyjaźni osobistej i politycznej, jakie miał z znaczącymi w kraju i państwie ludźmi, budził to zaufanie niezachwiane, że jakiegokolwiek byłoby jego stanowisko urzędowe, zawsze on wiele zrobić zdoła, a co zrobi, to w dobrym duchu i kierunku. To też kiedy się myślało o naszych sprawach w najbliższej przyszłości, miało się to uspokojenie, że głowa i serce tego człowieka będą na jakie lat dwadzieścia lub trzydzieści jednym z niezawodnych a dobrych warunków tej przyszłości. Ten rodzaj zażyłości, jaki się wyrobił między nim a Arcyksięciem Rudolfem, mógł zapewne z czasem okazać się bardzo pożytecznym, jak mógł się też i zmienić; ale te związki i wpływy, jakie miał w kraju, zmienić się nie mogły, a rokowały przez grono dzielnych i rozumnych ludzi, mądre działanie w polityce, w szczęśliwym razie może silny środek ciężkości, przyciągający i ustalający lotne i płynne pierwiastki, zdolny z czasem wytworzyć i przywrócić równowagę organizmowi, który dotąd nie dość czuje jej potrzebę, a bez niej (jak wszelki inny) ani silnie się ruszać, ani prawdziwie i długo żyć nie może. Okoliczności zdawały się po temu składać i do tego zmierzać, kiedy przyszła śmierć: i z tych dobrych warunków naszego przyszłego działania i powodzenia przemazała jeden, ale jeden z najlepszych.

Czy to ofiara pokutna za nasze dawne grzechy, czy może kara za to, że mając często wielu dobrych, nie chcieliśmy z nich korzystać? Oby to pierwsze, a nie drugie. Ale jakkolwiek jest, to patrząc na to życie krótkie, smutne a bogate w zasługi, dochodzi się do przekonania, że w narodach szczęśliwszych niełatwo może byłoby znaleźć człowieka w podobnych warunkach, a żyjącego tak mało dla siebie, tak zupełnie poświęconego celom ogólnym i wyższym. Jest w tem przecie pociecha, i pokrze-

pienie na duchu. Mówi się tak wiele o winach i błędach polskiej arystokracji, nikt nie widzi ich lepiej, nie sądzi surowiej od nas. Ale patrząc wstecz na skończony prawie wiek XIX, widzi się w jego ciągu ogromną tam sumę patryotyzmu, poświęcenia i cnoty. Potockim w szczególności wypomina się dotąd grzech Szczęsnego, a w naszym wieku było między nimi kilku, których mogliśmy byli nie mieć bez wielkiej dla siebie szkody. Ale spróbujmy policzyć, ile mieli od stu lat wartości i zasługi: Ignacy, Stanisław, Włodzimierz, Alfred i Artur za Napoleona; później Aleksander, Tomasz, Henryk, Adam i Alfred wreszcie, — patrzaliśmy na nich, i nie trzeba przypominać, ileśmy w nich mieli, i ileśmy w nich stracili. Czy to znak, że idziemy w górę, czy tylko piękny koniec, nie wiemy, ale sądzimy, że gdyby w jakiegokolwiek jednej rodzinie podobnego znaczenia, francuskiej, angielskiej czy włoskiej poszukać, to może nie znalazłoby się tam tylu ludzi z poświęceniem, a tylu z niepospolitą zdolnością? Ten najmłodszy z nich, Artur, ze swoim wielkim sercem? i ze swoją dobrocią miłą i czułą, z odwagą i inicjatywą w charakterze, z rozumem niezwykłym, z ręką zawsze otwartą i hojną, z budującą wiernością swoim zasadom, a niemniej budującą karnością w postępowaniu, z bogacił niemało skarbiec tych zasług i ofiar: a choć krwi nie przelewał i z mienia nie był wyzuty, poświęceń i wyrzeczeń się walk, z sobą samym miał nie mniej niż tamci, choć żył krócej od nich. Kiedy był młodym chłopcem, z wielkim zapałem czytywał *Fausta*, powtarzał często jego gorzkie słowa *Entsagen muszt du, muszt entsagen*, i mówił, że to abecadło w nauce życia. Mówił to, jak żeby w przeczuciu. Musiał sam wyrzec się szczęścia; a potem w tej ostatniej chorobie, czego on nie złożył w ofierze, z czym się nie ugiął i nie upokorzył! Ofiara z własnego życia, młodego jeszcze, ze

wszystkich zamiarów jakie mieć, ze wszystkich pożytków jakie przynieść, ze wszystkich zasług jakie położyć mógł: ofiara z własnych pociech i ze szczęścia swoich, matki żadną obcą myślą nieogarnione boleści, dzieci sieroctwo, wszystko to musiał mężnie woli Bożej poświęcić i polecić. A wszystkie męczarnie tej strasznej choroby długiej, całorocznej, wytrzymać! a ta trudność w mówieniu, nieznośna przykrość w każdej chwili, a bolesne kalectwo w dalszem życiu (o ile o niem myślał) i konieczność wyrzeczenia się tego wszystkiego, co człowiek mową sprawić może... wszystko, aż do rzeczy najmniejszych, aż do miłości własnej było umęczone, upokorzone. On taki rad ze swojej siły i wytrzymałości, taki ufny w swoje zdrowie, on musiał się wyrzec tego co ma ostatni żebrak: swobodnego, łatwego ruchu i wyrażenia swojej myśli jak chce. Ile potrzebował cierpliwości, odwagi, pokory, zwycięstw nad sobą samym? a ile musiał z sobą samym walczyć, żeby się poddać, zgodzić, pod ręką Boską ugiąć pokornie?... Ten koniec budujący wielkością odwagi a prostotą uległości, to zasługa, która, nie wiemy na karb czego, ale z pewnością policzona będzie, bo to największa w jego życiu cnota. Nieszczęśliwy był w tym strasznym ostatnim roku swego życia tak, że stosują się do niego, jak żeby dla niego były pisane te skargi Joba, które Kościół modli się za zmarłych: „Duch mój umniejszy się, dni moje się skrócą, „a tylko mi grób zostaje. Dni moje przeminęły, myśli „moje rozerwane są, trapiąc serce moje. Gdzież tedy „jest oczekiwanie moje, a cierpliwość moją kto oba- „czywa.“ „Zmiłujcie się nademną, zmiłujcie się nade- „mną przyjaciele moi, bo mnie ręka Pańska dotknęła. „Popsował mnie zewsząd i ginę, a jako wyrwanemu „drzewu „odjął nadzieję moją.“ „Puść mnie tedy, że

„trochę opłacę boleść moją pierwej, niż pójdę i nie
„wrócę się.“

Było dosłownie tak, i on musiał prawie dosłownie tak siebie samego żałować. Ale z tych głębokości nie-szczęścia i smutku, jak zwycięzko, jak chwalebnie i tryumfalnie wzbija się w górę pewność odzycia i wiekuistej światłości:

„Wiem, iż Odkupiciel mój żyje, a w dzień ostateczny powstanę z ziemi. I zaś obleczon będę w skórę „moją, i w ciele mojem oglądam Boga mego, którego „ujrzeć mam ja isty, a nie inny. Schowana jest ta nadzieja w zanadrzu mojem.“

Ta to myśl dała mu stałość, i męstwo, i pogodę w śmierci; ona na rysach zmarłego już zostawiła taki wyraz spokoju, jak żeby wszystkie cierpienia ciała i duszy zwiane były i zmazane anielskim skrzydłem pociechy i nadziei. Z tą myślą niezawodnie zażył on ostatniej na tym świecie pociechy, może przyjemności. Matejko był mu darował swój obraz *Zmartwychwstania* na pamiątkę wspólnej jazdy do Rzymu i oddawania Papieżowi *Sobieskiego pod Wiedniem*. W płomienistej jasności wzbil się Zbawiciel z grobu, z rękami rozpiętymi, z nogami złożonemi tak, jak wisiał na krzyżu. Obraz ten był zawsze w pokoju Artura, przy jego łóżku. W wilię śmierci kazał go sobie przysunąć tuż do krzesła, w którym konał, i wpatrywał się weń ciągle przez cały wieczór, przez całą noc, przez cały następny, ostatni, ranek swego życia. Wpatrywał się, bo obraz odpowiadał jego myśli, potwierdzał tę pewność: „wiem, że mój Odkupiciel żyje, a w dzień ostateczny powstanę z ziemi, ja „isty a nie inny.“

W chwili śmierci myśli się tylko o Bogu i o sobie, o swoim zbawieniu. Ale wiara jest jedna i niepodzielna, a człowiek, który umiera, z pewnością że sam nie ginie, lecz wstanie zmartwych, musi swoją wiarą obejmować więcej, i odchodzi ze świata z przekonaniem, że taksamo nie zginie, ale odżyje wszystko, co na świecie dobre, co sam za takie uznał, kochał i czemu służył.

St. Tarnowski.

(„Przegląd Polski“ z miesiąca Maja 1890 r.).



(DODATEK).

MOWA W^go HOMOLACSA STANISŁAWA,

VICE-PREZESA TOW. ROLNICZEGO KRAKOWSKIEGO,

wypowiedziana na ogólnem Zgromadzeniu Towarzystwa w Krakowie
dnia 23 Maja 1890 roku.

ostatnimi czasy utracił kraj nasz wielu zasłużonych mężów, którzy, obdarzeni zaufaniem nietylko naszém, ale i Monarchy, dzierżyli w swoich rękach ster spraw publicznych.

Widząc tak liczne wyłomy, było dla nas pociechą, że młodsze latorośle, wychowane na tak szlachetnych wzorach, zdołają nam tych mężów zastąpić.

Jednak wyroki Boskie są niezbadane. Jeszcze dawne bliźny się nie zasklepiły, a już cios nowy dotknął nietylko Towarzystwo nasze, ale i kraj cały.

Zaszczyt, jaki mnie przypadł w udziale: powitania szanownych panów, ogorycza myśl, że krzesło to stoi dziś puste, a mąż, który z tego miejsca zwykł był do nas przemawiać słowem ciepłym, a szczerém, opuścił nas na zawsze.

O życiu ś. p. Artura hr. Potockiego można powiedzieć, iż kogo Bóg ukochał, tego doświadcza. Zaledwie bowiem wyszedł z lat młodocianych, utracił najlepszego ojca, a w lat parę najukochańszą towarzyszkę życia swojego.

Cios ten bolesny byłby go już złamał, gdyby nie gorąca miłość kraju. Gdym omawiał z nim przyjęcie

obowiązków prezesa w naszym Towarzystwie, pamiętne mi są słowa jego :

„Życie moje wykolejone, niczego dla siebie nie pragnę; jedyną dla mnie pociechą jest żyć i pracować dla kraju.“

Słowa te były też nicią przewodnią w dalszym jego życiu. W roku 1884, gdy biedny kraj nasz dotknęła niebywała klęska powodzi, jakżeż on ją gorąco odczuwał. Wrażliwa jego natura nie pozwoliła mu odpocząć jednej chwili. Już w nocy z 20-go na 21 Czerwca rozesłał setki telegramów; za nadejściem trwożnych odpowiedzi na zajutrz rano za jego inicjatywą zorganizował się komitet ratunkowy, a następnego dnia wyruszyliśmy na miejsca najbardziej zagrożone, i tam, nie szczędząc grosza i trudów, zaspakajał w pierwszej chwili potrzeby zgłodniałych.

W tym samym czasie grozi nowe nieszczęście krajowi: upadek Zakładu kredytowego włościańskiego. Tu znów widzimy Artura hr. Potockiego, który łączy się z ludźmi dobrej woli, z ludźmi kochającymi kraj i ratuje od upadku 34.000 rodzin włościańskich.

Dla bliższych sąsiadów swoich włościan, powiatu chrzanowskiego, zrobił jeszcze więcej: zawiązuje komitet obywatelski, przeprowadza rokowania z Bankiem włościańskim, gdzie zdołał wyjednać obniżenie długu o 22.000 złr. a resztę pozostałego długu około 50.000 złr. spłacają kasy zaliczkowe, krzeszowicka i chrzanowska, które ś. p, Artur hr. Potocki zasila potrzebnym kapitałem z własnych funduszów, i tym sposobem umożliwia powolną spłatę ratami 300 włościanom, zagrożonym wywłaszczeniem.

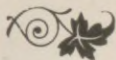
W Sejmie podczas ostatniej jego kadencji, kiedy sprawa indemnizacji propinacyjnej poruszoną została, czuł się ś. p. Artur hr. Potocki mocno słabym, a gdy

mu przedstawił, iż winien przedewszystkiem ratować swe zdrowie, odpowiedział mi: „Nie mogę opuścić Izby, zbyt to ważna sprawa; czuję, że jestem potrzebny.“

Słowa powyższe wskazują, iż zacny ten charakter wyżej cenił dobro kraju, niż własne swe zdrowie, a nawet życie. Tak jest, Panowie, ś. p. Artur hr. Potocki żył w kraju i dla kraju: po przebytej w Wiedniu ostatniej operacji, kiedy stan jego żadnej już nie zostawił nadziei, najgorętszym jego pragnieniem był powrót do kraju, gdzie z rezygnacją i męstwem znosił straszne cierpienia, a niepojętą swobodą umysłu i nadziemskim spokojem osłodził i złagodził bezmierny żal rodziny i przyjaciół. Gdym tylko wspomniał w mém krótkim przemówieniu imię ś. p. naszego zacnego a nieodżałowanego prezesa hr. Artura Potockiego, przez powstanie daliście wyraz Waszej czci i żalu. Ja z méj strony dodam, że choć go dziś nie staje między nami, to pamięć o nim pośród nas nie zaginie, gdyż zbyt głęboko wryła się w serca nasze.

Stanisław Homolacs.

(„Czas“ Nr 120 z dnia 28 Maja 1890 r.)







3824/3

